

Na jeziorowe sandacze

Autor: Jacek Józwiak

O tym, że szukanie sandaczy w wodach stojących, to nie tylko echosonda czy podpatrywanie miejscowych specjalistów. To także umiejętność zdobywania najrozmaitszych informacji i kojarzenie ich z tym, co się o wodzie i sandaczowych obyczajach już wie. A więc przede wszystkim ciekawości wędkarskiej, mądrej ciekawości.

Jeziora nie mają najlepszej opinii wśród łowców sandaczy. Nietatwo bowiem znaleźć - jak to się swojego czasu udało Jackowi Kolendowiczowi i Robertowi Taszarkowi - jezioro obfitości, na którym mętnookie drapieżniki biorą jak oszalałe. Ale przecież i na jeziorach da się odnaleźć sandacze.

Coraz mniej w Polsce jezior o klarownej wodzie, coraz więcej akwenów poddaje się eutrofizacji. Wody mętnieją, znikają podwodne łąki rogatek, wyłócznika, moczarki. Powoli z wód jeziora wycofuje się szczupak i choć pozostaje w strefie przybrzeżnej i w sielawowych toniach, to jego populacja znacznie się zmniejsza. Jako że przyroda nie lubi próżni, to jego miejsce zajmuje sandacz. Rzeczywistość znalazła odbicie w typologii jezior: są więc jeziora szczupakowo-linowe, są także sandaczowo-leszczowe.

Spinningistów - mimo że nie łowią na jeziorach białej ryby - interesować powinny oba człony ichtiologicznej klasyfikacji. Pierwszy pozwoli im się zorientować, czy warto nastawiać się na danym akwenu na sandacze i decydować na żmudne poszukiwania, drugi może pomóc w doborze przynęt.

Są oczywiście jeziora typu szczupakowego, w których występuje populacja sandacza, niekiedy nawet dość liczna. Odnalezienie ryb bywa jednak bardzo czasochłonne i przekracza niekiedy możliwości wędkarza przyjeżdżającego nad jezioro sporadycznie czy spędzającego nad nim urlop. Nie zniechęcam do poszukiwań, ale przestrzegam wszystkich, którzy liczą na łatwe i szybkie efekty: jeziorowy sandacz bywa trudnym przeciwnikiem. Nie jest go łatwo namierzyć nawet w akwenach, które noszą miano sandaczowych. Odnalezienie jednak miejsc, w których przebywają stale, może wędkarzowi przynieść przeogromną satysfakcję, wiele emocji oraz dać znakomitą lekcję szacunku dla natury. Mi w każdym razie poszukiwania sandaczy na jeziorze Bełdany, na Raduniu w zachodnio-pomorskim i na paru jeziorach Pojezierza Gnieźnieńskiego pokazały, że spinningowanie może być przyczynkiem do zmiany wędkarskiego systemu wartości.

Byłem otóż, jeszcze kilka lat temu, poszukiwaczem cudownych przynęt, jednoznacznych recept na wędkarski sukces, spinningistą, który myślenie o taktyce rozpoczynał od spraw sprzętowych... Dwuletnie poszukiwania sandaczy na Bełdanach nakazały mi zaczynanie od zupełnie innej strony. Udowodniły niezbitcie, że obśmiewane wówczas przez mnie "myślenie jak ryba" ma głęboki sens.

Paradoks polega na tym, że zbliżenie się do natury, powrót do wędkarskich korzeni zawdzięcam fascynacji nowoczesnością i... echosondzie. ZMIANA PRZEKONAŃ

Przyrząd ten zacząłem stosować w moich rejsach po jeziorze z przekonaniem, że przyniesie mi ogromną zdobycz. Nastawienie takie pogłębiło się przy pierwszych wyprawach. Nie dlatego, bynajmniej, że zacząłem raptownie łowić więcej ryb, ale przez to, że włączona funkcja identyfikacji ryb kreśliła na ekranie rybki i popiskiwała przy tym radośnie. Okazało się, że w nietłętym akwenu, oskarżanym przez wędkarzy i rybaków sieciowych o bezrybność, ryb jest jeszcze sporo.

Po kilku wyprawach zacząłem jednak traktować elektronikę zupełnie inaczej. Zdałem sobie sprawę z tego, że informacje ukazujące się na ciekłokrystalicznym wyświetlaczu są w pewnym sensie spóźnione i obraz, który mogłem oglądać jest już historią. W kąt poszły wyobrażenia o tym, że ujrzę oto na ekranie rybę, podam jej pod nos przynętę i obejrzę hol przekształcony przez procesor. Zdałem sobie też sprawę, że funkcja Fish ID myli się dość często i melduje o rybach, podczas, gdy echo odbija się od bąbli gazowych, liści, patyków, roślin czy czego tam jeszcze.

Z pokorą nakazałem więc zamknąć się identyfikatorowi ryb, wypatrywać zacząłem łuków rybich grzbietów. Już było lepiej. Możliwość samodzielnej interpretacji okazała się i fascynująca, i przyniosła efekty w postaci pierwszych jeziorowych sandaczy. Potem przyszła jeszcze poprawka na to, że bardzo często komputerek sondy "wbudowuje" ryby w obraz dna, że drapieżniki bardzo często znajdują się w tzw. martwej strefie i nie dociera do nich sygnał wysyłany przez przetwornik.

Jednocześnie z działaniami praktycznymi, zawzięcie oddawałem się studiom teoretycznym i w jednym z artykułów z prasy amerykańskiej znalazłem określenie, które było dla mnie genialnym odkryciem.

Otóż popełniłem błąd charakterystyczny dla neofitów echosondy - zawisłem na rybich grzbietach...

Skoncentrowałem się na wypatrywaniu na ekranie wyłącznie ryb, przestałem zastanawiać się nad tym, o czym informuje mnie to niegłupie urządzenie. Jednym zdaniem - widziałem wyłącznie fragmenty ekranu, przegapiając wszystko, co tak naprawdę okazało się niezmiernie istotne. Zdałem sobie sprawę, że do tej pory całe moje wędkowanie było takim wpatrzaniem się w rybi grzbiet, w pudełko z przynętami i w łożyska kołowrotka. Okazało się, że posługujący się echosondą wędkarz powinien obserwować i interpretować cały ekran, ze wszystkim szczegółami. Od tego wniosku do całkowitej zmiany poglądów było już bardzo blisko. **WSZYSTKO SIĘ LICZY**

Zarówno obraz na ekranie echosondy, jak i informacje, które można zdobyć bez korzystania z wędkarskiej elektroniki... Dla poszukiwacza sandaczy liczy się całe jezioro. Nad nowym akwenem warto więc zdobyć kilka podstawowych informacji. Trochę łatwiej będzie nad jeziorem odwiedzanym od dawna, bowiem większością danych się dysponuje, nie zdając sobie sprawy z ich wagi. Sandacz jest drapieżnikiem bardzo dbającym o własny komfort "psychiczny". Choć głód go wygania z ukrycia, to przecież większą część dnia spędza w miejscach, które "uznał" za bezpieczne. W świetle słońca niezbyt dobrze czuje się w otwartej toni. Jeżeli rozpoczyna żerowanie za dnia, to z reguły penetruje strefę bezpośrednio przylegającą do swej ostoi. Nawet późnym wieczorem ogranicza się do najbliższych okolic, dopiero po zapadnięciu zmroku szuka bardziej oddalonych zgromadzeń drobnicy.

Większość jezior udostępniona jest do wędkowania za dnia, dlatego też jeziorowemu spinningiście powinno zależeć na odnalezieniu dziennych ostoi tych drapieżników.

W jeziorach płytkich, w których sandacze występują licznie, nie ma specjalnych problemów - plan batymetryczny bywa na ogół wystarczającą podpowiedzią. Penetrowanie wszystkich głębokości może bardzo szybko przynieść niezły efekt, zaś odszukanie płosa z gmatwaniną podwodnych przeszkód - gałęzi, karczki, pniaków, głazów czy zatopionego wraku, bywa gwarancją sukcesu.

Właśnie takich przeszkód, a właściwie ich nagromadzenia, szukają najznakomitsi sandaczowcy ze zbiorników zaporowych. Mają oni uproszczone zadanie - na zalanych powierzchniach pełno jest takich miejsc. Od ściętych lasów, przez zagajniki, płataninę krzaków, po całe wioski, które znalazły się pod wodą. Na jeziorach o takie miejsca nie jest łatwo.

Na dużych i głębokich akwenach sandacz za dnia przebywa w pobliżu dna na głębokości od kilku, do kilkunastu metrów. Wybiera najczęściej płaskie blaty leżące w pobliżu gwałtownych spadków dna - zarówno tych znajdujących się w pobliżu brzegów, jak i sąsiadujących z podwodnymi górkami.

Miejsca te nie są specjalnie trudne do wytypowania dla posiadaczy echosondy lub dla spinningistów, którzy używają tradycyjnej sondy w postaci sznurka i ołowianego ciężarka. Każda głębia położona blisko obfitującej w drobnicę płycizny może być ostoją sandaczy. W jeziorach, które wypływają się jednostajnie, bez wyraźnych uskoków,ienne ostoje sandaczy znajdują się z reguły niezbyt daleko od granicy, na której znajdują się ostatnie rośliny wodne. To strefa, na którą dość mocno działają podwodne prądy i skutki falowania powierzchni - dno oczyszczane jest z mułu, a twarde dno jest tym, co sandacze lubią najbardziej.

Nie bez kozery tytuł tego fragmentu podkreśla, że dla łowcy sandaczy każda informacja może okazać się niezwykle ważna. Staram się unikać niepotrzebnych uogólnień, więc trzymając się tej konwencji, napiszę o konkretnych doświadczeniach własnych. Mam głębokie przeświadczenie, że Czytelnicy mogą z nich skorzystać także na "swoich" sandaczowych jeziorach. **SANDACZOWY JAMES BOND**

Zafascynowany echosondą, mimo znaczących korekt w poglądach i starannym uwzględnianiu informacji z całego ekranu, nadal trwałem przy fascynacji elektroniką. Rychło jednak okazało się, jak istotne mogą być informacje, których urządzenie nie uwzględnia. Któregoś dnia trafiłem na interesujące miejsce w pobliżu obozu harcerzu-wodniaków. Od ich pomostu dno opadało gwałtowną stromizną do głębokości 11-12 m. Potem był kilkunastometrowy blat przed następnym spadkiem. Echosonda meldowała o ciekawych rzeczach - na blacie musiały być jakieś przeszkody. Po urwaniu kilku przynęt i wyjęciu na kotwicach poczerwiałych gałązek oraz odłupków drewna, domyśliłem się, że były zbutwiałe karczki, czy coś w tym rodzaju.

Stanowisko przyniosło mi kilka ładnych ryb - zanim harcerzy obudził sygnał trąbki, mogłem przez kilka godzin poranka poszperać w karczach jigiem z antyzaczeponym wężem.

Kiedy dzieliłem się informacjami z miejscowym wędkarzem - taka już jest taktyka Bonda, że za informację trzeba płacić, choćby inną informacją - dowiedziałem się, że w tym miejscu przed laty była binduga, miejsce, po którym staczały się pnie wyrąbanych drzew, później były wiązane tratwy, które następnie odciągał holownik. Stąd to nagromadzenie "chaszczy" na blacie.

Ta informacja wywołała moje "bindugowe szaleństwo". Od najstarszego gajowego w okolicy dowiedziałem się, gdzie jeszcze były bindugi. Przy każdej, przy której znajdowała się głębina, echosonda meldowała podobną, bardzo urozmaiconą konfiguracją dna. Na każdym takim miejscu były sandacze.

Kolejny wyjazd poświęciłem na przeszpiegi wśród miejscowej ludności.

Nie podejrzewano mnie o wędkarską konkurencję, bowiem rozpytywałem o wszystko - byle nie o ryby. Interesowały mnie zatopione łodzie, stateczki, dawne budowle hydrotechniczne, miejsca, gdzie topiono niezdatne do użytku samochody. Opowiadano chętnie, często bardzo barwnie i interesująco. I znów wiedza ta, wsparta echosondą, przyniosła mi kolejne stanowiska, które wpisałem w prywatną mapę jeziora. Odszukałem nawet znakomite sandaczowisko, w miejscu, gdzie pod koniec wojny zatonięła barka z kilkoma ruskimi ciężarówkami i czołgiem. Rzecz jasna, obraz na ekranie nie był batalistyczną scenką, ale wśród równego dna, na głębokości ok. 12 m echosonda zameldowała jakieś interesujące wybrzuszenia, górkę, niby-glazę. Tutaj także mieszkały sandacze, choć od płytkiego żerowiska dzieliła je kilkusetmetrowa odległość. Ale czołg daje przecież poczucie bezpieczeństwa, nieprawdaż?

Mimo że jeziora uważane są za łowiska ustabilizowane, na których zmiany odbywają się powoli, to przecież człowiek potrafi naturę zmieniać bardzo szybko. Jeszcze przed kilku laty Beldany słynęły z górek szczupakowych, na których łowiło się i okazy, i komplety. I oto zmienił się ustrój i skończyły się szczupakowe górkę...

Pewnie Czytelnicy myślą, że pomieszało mi się we łbie. Otóż wcale nie - za socjalizmu z jego urawniówką po jeziorach nie objętych strefą ciszy pływało niezbyt wiele motorówek, na ogół niespecjalnie mocnych. Po wejściu w kapitalizm, jezioro stało się mekką sportów wodnych. Od paru lat w wędkowaniu przeszkadzają skutery, motorówki pływające "tak sobie" z niewiarygodną prędkością lub ciągnące narciarzy a nawet paralotnie.

Liczy się przede wszystkim liczba koni mechanicznych oraz wysokość fali, jaką wznoszą te szatańskie obiekty. Kilka motorowodniackich sezonów wymiotło z podwodnych górek łany rogatka, oczyściło je z warstwy mułu. Teraz rośnie tam cieniutką warstwą wodny mech, wśród niego pokazały się łyse placki żwiru. Wszystko, co nad górkę wystawało z dna, zostało wymiecione w pobliskie głębie. Teraz górkę te na przełomach dnia i nocy nawiedzane są przez sandaczowe watahy, które dzienną ostoję znajdują wzdłuż stromych uskoków dna tej do niedawna szczupaczej krainy. Dla łowcy jeziorowych sandaczy znaczenie więc może mieć nawet zmiana ustroju...